Powieść i Nowela

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 27 WRZEŚNIA 1930 ROKU NR. 39

ANDRZEJ STRUG

32)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Podczas ciężkiej mowy inauguracyjnej dyrektora van Trothena Eva przygryzała usta, żeby zachować powagę i godnie reprezentować swoją osobę, gdyż wlepione w nią były setki oczu. A chciało się śmiać, śmiać, śmiać... Swawolny śmiech wydzierał się z niej przemocą, jątrząc nieprawdopodobieństwem zawrotnem, szczytem komizmu tego, na co patrzała własnemi oczami i co słyszała na własne uszy. Po prawej stronie miała pana ministra spraw wewnętrznych Rzeszy, po lewej generała von Sittenfeld, szefa kontroli kontrwywiadu wojskowego, a o pięć kroków przed nimi stoi w uroczystym żakiecie i wypluwa frazesy patrjotyczne Van Trothen... Teraz mówi o niej, patrzy jej prosto w oczy i ani się zająknie — oklaski, oklaski... Podnosi się sam pan minister i dudni głuchym głosem komunały o znaczeniu kina, o wojnie, o Nibelungach, o najświetniejszej gwieździe ekranu, która... która i która...

Oklaski. Niech żyje Eva Evard! Hoch! Hoch!! Hoch!!!

Zamiast zbojkotowanego i niedostępnego zresztą szampana podano rodzime musujące wińsko, które pieniło się arogancko i bez miary, jak ordynarny dorobkiewicz, doprowadzający do karykatury maniery arystokraty. Na długich stołach rozstawiono półmiski ze stosami przekąsek — biały chleb, masło, rostbeef, sardynki, szynka, kawior. Na chwilę Eva została osamotniona. W szturmie na czarodziejskie stoły nie zabrakło nikogo. Po pewnym namyśle udał się tam i pan minister spraw wewnętrznych, którego obowiązkiem było czuwać najsurowiej nad rygorami aprowizacyjnemi, a po niejakiej chwili oderwał się od Evy nawet generał von Sittenfeld.

Wówczas van Trothen zamienił z Evą przelotne osobliwe spojrzenie i zacierając ręce rzekł z ulgą:

— A zatem możemy sobie powinszować, początek wypadł wspaniale. Z tą chwilą cały Berlin stoi przed panią otworem — szansa poprostu niesłychana. Pani Evo, musimy dokonać czegoś naprawdę wielkiego. Ale jeszcze raz ostrzegam panią przed tym generałem. Jego szelmostwo jest zaiste kolosalnej miary. To jest dopiero gracz!

Eva się śmiała.

ROZDZIAŁ VII.

W końcu lutego o zmierzchu dżdżystego dnia, gdy holownik na Renie zawył swą niemiłosiernie długą skargę czy groźbę, Rita odskoczyła od okna na środek pokoju i oglądała się dokoła w strachu i rozpaczy. Chciała krzyczeć, wołać pomocy, ale coś ją ostrzegało natarczywie z ciemnego kąta pokoju... Ktoś niewidzialny machał na nią rękami, uciszał i wreszcie groził. Więc szeptała z cichym jękiem — ratujcie mnie, ratujcie...

Holownik wciąż wzmagał swój głos olbrzymi i wył chrapliwie, szarpiąco, całą mocą. Teraz obwieszczał światu jakoweś niezmierne nieszczęście, nieodwołalne, bo już spełnione. Ktokolwiek marzył jeszcze, że dola się odmieni, kto czekał na lepsze jutro, kto się łudził, że śmierć, wisząca nad najdroższą głową, ominie ją i wybierze kogo innego, kto chciał zakończyć ten dzień w spokoju i usnąć błogo, kto się uśmiechał w tej chwili, kto nucił piosenkę... Wszyscy, wszyscy, gdy usłyszeli ten nielitościwy, martwy zew, truchleli w grozie i gotowali się na cios nieszczęścia. Zła wieść grzmiała wyraźnie, wlokła się, powtarzając swe straszliwe słowo, jej ponad ludzki dech wołał, trwożył, dręczył bez końca, pod jego wściekłym naporem łamało się serce, drgały cicho brzęcząc szyby.

— Ratujcie mnie... Ratujcie... Dobrzy ludzie... O ludzie...

Kogo miała na myśli tak szepcząc w trwodze? Nikogo. Czyż jest ktoś tak nieskończenie dobry, żeby zrozumiał jej rozpacz i mądrem słowem, odgadnięciem prawdy utulił jej złowrogie przeczucie?... Pomyślała o tym Ossianie Helmie — czemuż go niema przy niej teraz właśnie? Nie przychodzi w najgorszej potrzebie, niedobry, niewierny... Dawno go nie było, pojechał daleko, kiedy ona jest najnieszczęśliwsza. Zapragnęła jego milczącej obecności, jego spokojnego spojrzenia... Ojciec znowu gdzieś gania po świecie, zresztą, cóż ojciec...

Holownik zachłysnął się i urwał, nagle uczyniło się przeraźliwie cicho i doktór Ossian Helm stanął w progu. Nie wierzyła własnym oczom.

— To pan? To pan naprawdę?

— Jestem, witam panią. Może nie w porę?

— Ach, w porę!

Poraz pierwszy powitała go radośnie. Zaczęła szybko mówić o byle czem, o niczem, urywając zdania, jakby jej brakło tchu. Zarzucała go pytaniami, nie dając mu odpowiedzieć, ani wtrącić jednego słowa. Pytała o Berlin, skarżyła się na ojca, że pojechał przeziębiony, oznajmiła, że syn adwokała Minna poległ pod Lombardsyde, że młody Schramm przedwczoraj otruł się, ale go odratowali. Wuj Niemayer z Hannoweru wybiera się do nich, w „Badische" zanosi się na strejk głodowy, bo od tygodnia zupełny brak dowozu. Wczoraj eksplodowały dwa nowe ge-

neratory. Same wypadki! W Germersheim zapalił się wielki statek - cysterna, cała benzyna poszła z wodą. Wczoraj przez cały dzień płynęły Renem zdechłe ryby — wielkie i małe. Nikt nie przypuszczał, że w Renie mogło być tyle ryb. Pomimo zakazu policji ludzie je wyławiali i jedli. Nareszcie lada dzień otrzyma wiadomości o mężu. Właśnie pani von Senden pojechała do Wilhelmshaven i obiecała natychmiast napisać...

Zamilkła i z niepokojem wpatrzyła się w niego. Pomimo zmierzchu dostrzegła w nim wielkie zmiany, wyczuła w nim coś wrogiego. Było to zatajone i złe, pomimo jego zwykłego dobrego uśmiechu.

— Co się z panem stało? — zapytała z bólem w głosie.

— Ze mną?

— Jest pan jakiś zupełnie inny... Pan coś przedemną ukrywa...

Wpatrywała się weń, wpatrywała. Poskoczyła do ściany, odkręciła światło. I nagle krzyknęła wysilonym, obcym głosem:

— Niech pan mówi odrazu! Już! Natychmiast!!

— Pani Rito...

— Nie! Nie! Niech pan jeszcze nie mówi! Błagam pana...

Zgasiła światło. W pokoju uczyniło się zupełnie ciemno. Claude zaledwie ją dostrzegał na tle okna. Holownik znowu odezwał się, teraz już skądś zdaleka, jego głos przytłumiony jęczał posępnie, roznosząc innym dalszym ludziom żałobną wieść.

— Proszę pani...

— To ty, Charlotto?

— Jakiś człowiek do pani... Mówi, że jest z fortu Schilling, jakiś marynarz.

Claude uczuł, jak chwyciła go za ramię mocno, oburącz. Dygotała.

— Ratuj mnie — zaszeptała — pomóż mi... O Boże miłosierny... Cóż teraz będzie? Panie Helm, co ja mam robić?

— Pani pozwoli, ja się rozmówię z tym marynarzem.

— Nie! Ja nie pozwalam!

— Proszę pani, to ja go odprawię — odezwała się Charlotta.

— Za nic w świecie! Zawołaj go, niech tu wejdzie. Przepraszam pana, panie Helm, jestem dziś wyjątkowo zdenerwowana.

Zaświeciła lampę, stojącą na stole w kącie saloniku. Ciemno-niebieski abażur stłumił światło i napełnił pokój martwym księżycowym półzmierzchem. Oczy Rity biegały w popłochu, ich spojrzenie było niewidzące i błędne. Claude nerwami wyczuł jakąś groźbę, wiszącą nad nimi. Ten marynarz... Trzeba było koniecznie coś uprzedzić, odwołać rzecz, która ma się stać. Ale było zapóźno. Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki niemiłosiernie skrzypiących butów. Rita odwróciła się do okna, na progu ukazała się wyniosła postać w grubej marynarskiej kurcie i skłoniła się niezgrabnie. Był to człowiek potężnej budowy ale przerażająco wychudły, szeroka kurta wisiała na nim, jak na kiju, a twarz w przykry sposób przypominała trupią czaszkę, w sinem świetle lampy była okropna. Rita podchodziła do tej postaci zwolna, opornie, jakby przemocą pchana. W twarzy jej zakrzepło przerażenie. Claude stanął między nią a złowrogim gościem, jakby chciał jej bronić.

— Pan... do mnie?

— Tak jest. Ja do pani komendantowej w krótkiej sprawie... Bo ja jestem z U. C. 17... I pan komendant mi nakazał... Ale nie mogłem do tej pory... Długo chorowałem... Leżałem w szwedzkim szpitalu w Hahnstad... Sześć tygodni... Potem mnie wyprawili... Znowu leżałem... Już w naszym szpitalu... We Flensburgu... Potem mnie odesłali do Kiel... Dopiero przed tygodniem wypuszczony jestem na urlop... Za pozwoleniem pani komendantowej... Melduję się posłusznie... Jestem podoficer nawigacyjny floty, Gebeschuss, sternik.

W głosie, który to mówił, nie było nic człowieczego. Zgrzytliwy, martwy szept wychodził jakby z blaszanego głośnika. Zacinał się co chwila, był przenikliwy, świszczący, sztuczny, przerażająco wyraźny. Był wysilony, jakby przemagał niezmierną trudność, dźwięczała w nim niemoc i jakby szyderstwo. Tak mogła szeptać jakaś naśladująca człowieka maszyna.

Sternik urwał i odpoczywał, gwiżdżąc oddechem. Rita zapatrzona w niego skamieniała. Claude wyrwał ją z osłupienia, zaprowadził do kanapy i posadził bezwolną i posłuszną. Gestem poprosił siadać marynarza. Ten usiadł i milczał. Wyglądał, jak widmo; gdyby nie połysk zapadniętych oczu i świst oddechu można go było wziąć za trupa usadzonego w fotelu. W tej twarzy jasnokościstej i nieruchomej nie znać było żadnej myśli, ani śladu jakiegokolwiek czucia, rozpościerała się na niej martwa maska śmiertelnego wyczerpania. Minuty upływały i wreszcie ta cisza stała się tak okropną, że Claude, po tysiącu rozpaczliwych pytań — co robić, bojąc się spojrzeć na Ritę, przerwał milczenie i natychmiast tego pożałował.

— Więc, panie sterniku... Bo pani baronowa, rzecz prosta, spodziewa się jeszcze wciąż...

— Nieprawda, panie Helm! Niczego się nie spodziewam! Panie Gebeschuss, proszę mówić dalej, jak było. Ja pana dobrze znam z opowiadań męża — niech pan mówi. Ale pan jeszcze chory — Charlotto! Podaj wino i cośkolwiek do zagryzienia! Panie Helm, niech się pan nie obawia o mnie. Będę zupełnie spokojna, żadnych spazmów...

— Pani jeszcze nie wie, co on powie...

— Wiem, dobrze wiem.

Opowieść sternika była niegadatliwa. Snać w chorobie nauczył się szczędzić słów.

— Nad samem ranem pan komendant i pan zastępca postanowili sprobować jeszcze szczęścia... Sieć nie popuściła ani o włos... Śruby, wszystkie stery zapętane... Jak było, tak zostało... Tedy ostatnia próba, puszczać się po jednemu z powietrzem, wyniesie nie wyniesie, zabije nie zabije... Do stracenia my nie mieli nic... A wyrzuci żywego, nie rozbije po drodze o żadne żelazo, to Anglik, co nad nami waruje, może pomoże i tego człeka wyciągnie... Może dostrzeli... Może tylko popatrzy sobie spokojnie, aż ludzie pokostnieją i na jego oczach zmarzną na śmierć... Nie słyszeliśmy nigdy, żeby się kto kiedy tym sposobem ratował, ale co... Napuściło się powietrza ze zbiorników, aż dusiło... Pan zastępca wyszedł na górę, odmykać pokrywę i odrazu go porwało... Wody sporo przecieka, ale naogół się trzyma... Wypychamy jednego po drugim, ja byłem w kolei jedenasty. Każdemu pan komendant powtarzał — że jakby łaska boska... to do Ludwigshafen, do pani komendantowej. — Powiadał przytem — to nie rozkaz, ja proszę... Mnie jeszcze rękę podał i wypchnął. A kiedy mnie poderwało z drabinki, to na dole stali wszyscy we wodzie już po szyję... To jest wszystko, proszę pani komendantowej, co miałem do zameldowania...

— To już wszystko?

(D. c. n.).

MAYERLING

21)

Natomiast Marja uczyniła pewne doświadczenie, po którem zdała sobie sprawę, jak stoją sprawy. Wchodziła do Opery przed podniesieniem kurtyny i mijała kuluar prowadzący do lóż, wyprzedzając o kilka kroków matkę i siostrę. Przed odemkniętemi drzwiami jednej z lóż rozmawiały dwie panie, przyjaciółki baronowej Vetsery. Marja podeszła do nich, ażeby przywitać się z niemi. Panie te, odwrócone od niej, rozmawiały z tak wielkiem przejęciem, że nie usłyszały lekkich kroków młodej dziewczyny. Marja stała tuż za ich plecami. W tej chwili usłyszała swoje imię i imię następcy tronu... Prawie natychmiast panie te zauważyły Marję i urwały. Mimo obycia i rutyny towarzyskiej, nie potrafiły ukryć pewnego zmieszania. I nawet Marja była tem zaskoczona. Niezwłoczne zjawienie się baronowej Vetsery położyło koniec tej przykrej scenie, która trwała jedną sekundę i o tę sekundę zadługo.

Gdyby to zajście miało miejsce o miesiąc wcześniej, Marja czułaby się wytrąconą z równowagi i bardzo zaniepokojoną. Tego wieczoru zostawiło ją to niemal obojętną. Czuła się igraszką potężnych mocy, nad któremi nie była w stanie panować, a które rzucą ją żywą czy martwą w niewiadome. Cóż znaczyło, że mówiono w Wiedniu o jej stosunku z Rudolfem? Wiele czasu będzie musiało upłynąć, zanim te słuchy dojdą do matki, gdyż to, co mówiono, narazie było dość powierzchowne. Wiele czasu! Już teraz nie czyniła żadnych projektów na dalszą metę, niż trzy dni. Kto mógł przewidzieć, gdzie będzie za miesiąc lub tydzień?

Rudolf opuścił znowu Wiedeń na dwa dni. To tylko wchodziło w rachubę. Jakie nowiny przywiezie po powrocie? Otrzyma depeszę z Rzymu? Jej życie zawisło na końcu tego drutu.

Po powrocie z dwudniowego pobytu na zamku Orth, nad Dunajem, Rudolf nie zastał tak niecierpliwie wyczekiwanej odpowiedzi od papieża. Skądinąd, trzeba wierzyć, że to, co usłyszał w Hofburgu, skłoniło go do przedsięwzięcia nowych kroków ostrożności podczas spotkań z Marją. Obawiając się skandalu ze strony następczyni tronu, która jakimś dwuznacznikiem dała mu do zrozumienia, że była poinformowana o jego aktualnej miłostce, Rudolf nie śmiał sprowadzać Marji do siebie. Poprosił więc swoją uprzejmą kuzynkę, ażeby przyprowadziła mu Marję wieczorem, do Prateru. Zimą, o dziewiątej, Prater był opustoszały i trudno było o pewniejsze miejsce, na sam na sam.

W powozie Bratfischa spotkała Marję miła niespodzianka. Zastała w nim Rudolfa, jeżeli nie wesołego, to w każdym razie pogodnego i rozmawiającego o wszystkiem ze spokojem, który był mu obcy dotychczas. Zawinął ją w połę swojego szerokiego płaszcza. Wtuliła się w jego ramiona, przygarnęła jaknajmocniej. Tylko ją miał na całym świecie. Nic więcej nie obchodziło go. I tego wieczoru nic więcej nie żądał od życia.

Tego wieczoru nie słyszał też szemrania, wznoszącego się dokoła nich, nie zważał na zawoalowane groźby żony, nie oczekiwał niecierpliwie odpowiedzi papieża; jeżeli papież odmówi swojej pomocy, to trudno, trzeba się będzie obyć bez niej.

— Póki jestem pewny ciebie — rzekł czule do Marji — nic prawdziwie dotknąć mnie nie może.

Można sobie wyobrazić, jaką radość sprawiły Marji słowa Rudolfa. Czyż nie zniosłaby tortur piekielnych, ażeby usłyszeć je z ust człowieka, którego kochała?

Ogarnęła ich noc. Zdala widać było światła wrogiego miasta. Mróz kładł się szronem na szybach karety, unoszącej na krótką chwilę dwie istoty niepomne wszystkiego, prócz najwyższego szczęścia: być we dwoje.

VI.

CESARZ I ŻOŁNIERZ

Sobota, dwudziestego szóstego stycznia, powinna była, ich zdaniem, przynieść im wiele szczęścia: zobaczą się dwa razy, w ciągu dnia. Rano, spotkają się w tajemnicy na zamku Hofburskim, a wieczorem ujrzą się na balu u ambasadorowej niemieckiej, księżny Reuss. Marja debjutowała w wielkim świecie. Rudolf miał przybyć wraz z małżonką.

Marja przygotowała sobie najpiękniejszą toaletę. Zamierzała wpiąć we włosy półksiężyc djamentowy swojej matki, a na palec miała włożyć pierwszy pierścień od Rudolfa. Powiedziała matce, że dostała go w upominku od ich drogiej przyjaciółki, hrabiny Larisch, z okazji pierwszego występu, jako dorosłej panny.

Lecz koło przeznaczenia zatoczyło inny krąg, niż oboje przypuszczali.

Ranem, zastała Rudolfa zatroskanego, i chociaż starał się zataić przed Marją smutek, znała go zbyt dobrze, żeby nie zauważyć jego zdenerwowania. Nie miał żadnych wiadomości z Rzymu. Czy to wystarczało, by wytłomaczyć jego strapienie? Uczyniła wszystko, co w jej mocy, ażeby rozweselić go. Wracając więc do tematu, który zwykle poruszał Rudolf, zaczęła mówić o pięknych dniach, jakie pędzić będą zdala od Austrji, gdy Rudolf zrzeknie się tronu. Życie ich nie będzie różnić się niczem od życia przeciętnych śmiertelników. I rzeczywiście, żaden temat nie był bardziej pociągający dla Rudolfa. Jeżeli papież zgodzi się na unieważnienie małżeństwa, pozostanie nadal następcą tronu i nie pozbędzie się tych wszystkich obowiązków, odpowiedzialności i kłopotów, jakie pociągało za sobą tak wybitne stanowisko. Miał nadzieję, że cesarz pozwoli mu zaślubić morganatycznie ukochaną Marję. Lecz, uda mu się to? Marja doznawała lęku na tę myśl.

„Niema szczęścia wystawionego na widok publiczny" mawiała Marja.

Życie zdala od świata, w ukryciu! Jakże im się to uśmiechało!

W tym dniu Marja powróciła do ulubionej rozmowy.

— Wiesz, mój drogi, obawiam się dla ciebie życia próżniaczego. Przywykłeś do pracy.

— Dwadzieścia lat wypoczynku, nie będzie dla mnie zbyt wiele, by pozbyć się znużenia, które tkwi we mnie. Dokąd udamy się?

I już są w drodze z Andaluzji do krajów baskijskich, z Algieru do Normandji, wysp mórz śródziemnych do Cejlonu.

Marja zakończyła temi słowy:

— A zresztą wszystko mi jedno. Rajem jest dla mnie to miejsce, w którem nie rozstaję się z tobą.

Rudolf pocałował ją i objął uściskiem.

— Zamykam cię w twojem więzieniu!

Marja wróciła do bardziej realnego tematu:

— Czy zapomniałeś, że przyrzekłeś mi już oddawna pokazać las podczas zimy. Czy mogę ufać człowiekowi, który nie dotrzymuje swoich obietnic?

— W przyszły poniedziałek udam się na polowanie do Mayerlingu. Spędzę tam dwa dni w głuchym lesie u stoku gór. Mam w Mayerlingu małą leśniczówkę. Radbym zabawić tam z tobą! Lecz narazie jest to wykluczone.

— Byłabym tam z tobą tak szczęśliwa! Ale pamiętaj Rudolfie, jeżeli zawieziesz mnie do Mayerlingu, nie wrócę już nigdy do Wiednia!

— A więc dobrze. Gdy nie będziemy już musieli rozstawać się z sobą, zawiozę cię tam.

W tej chwili rozległo się ciche stukanie do drzwi. To Loschek dawał znać o sobie.

Rudolf spochmurniał natychmiast.

— Widzisz — zwrócił się do Marji — nie dają mi spokoju. Wszyscy sprzysięgli się przeciw mnie... Cóż złego uczyniłem im? Czy nie mogliby zapomnieć o mnie bodaj na jeden dzień?... Wejdź Loschku!

Stary sługa stanął we drzwiach.

— Co znowu? Co się stało? Czemu przeszkadzasz mi?

Głos Rudolfa zdradzał niepokój.

— Wasza Wysokość, adjutant Jego Cesarskiej Mości pragnie rozmówić się z Waszą Wysokością.

Rudolf zwrócił się do Marji.

— Przejdź na chwilę do mojego pokoju. Prawdopodobnie nic ważnego, lecz muszę go przyjąć.

Marja przeszła do pokoju Rudolfa. Loschek wprowadził oficera. Przyszedł oznajmić następcy tronu, że cesarz pragnie widzieć się z nim niezwłocznie i oczekuje go w swoim gabinecie.

Zanim adjutant skończył zdanie, Rudolf zrozumiał, iż ojciec wzywa go dla najważniejszych powodów, i że ta rozmowa zadecyduje o jego życiu.

— Przyjdę zaraz — rzekł do adjutanta.

Oficer opuścił pokój. Rudolf otworzył drzwi Marji. Zauważyła, iż miał zmieniony wyraz twarzy.

— Muszę udać się do ojca. Rozmowa z nim przeciąga się zwykle. Nie mogę zatrzymać cię, kochanie.

Marja przelękła się.

— Chce mówić o mnie?

— Sądzę, że nie. Wzywa mnie dla omówienia różnych nudnych spraw, tyczących wojska!

Marja nie dała się przekonać.

Rudolf wziął ją w ramiona.

— Nie bój się, kochanie. Wiesz, że nikt już rozłączyć nas nie może. W najgorszym razie udamy się razem do Mayerlingu, by nigdy już nie wrócić tutaj... Postaram się przesłać ci kilka słów popołudniu. Jeżeli nie, znajdę sposób, dziś wieczorem w ambasadzie, by dać ci do zrozumienia, jak stoją sprawy.

Ucałowali się namiętnie.

Po kilku minutach Rudolf stał już na progu gabinetu cesarza. Był to olbrzymi pokój, o sztywnym charakterze, w którym żaden mebel nie został zmieniony, a nawet przestawiony, od lat. Fotele i krzesła stały rzędem, niby żołnierze. Żaden zbędny papier nie leżał na stole, lub biurku. Ołówek i pióro znajdowały się na swojem miejscu.

Światło dzienne wlewało się przez dwa olbrzymie okna, obramowane zielonemi prostemi sztorami. W tym dniu szare, zimowe, ołowiane niebo kładło się smutkiem po kątach pokoju.

Rudolf miał najpoważniejsze powody, by bać się rozmowy z ojcem, a że się lękał, iż w walce, do której trzeba będzie stanąć, przewaga będzie po stronie ojca, uczucie niepokoju ogarnęło go. Uczucie to potęgowało się tak z każdą chwilą, iż stało się nagle nie do zniesienia.

Ujrzał w tym zimnym, sztywnym pokoju pole walki, na którem dwuch przeciwników toczyć będzie bój, mogący zakończyć się jedynie śmiercią jednego z nich. Obawiał się, że, jako zgóry skazany na ofiarę w tej nierównej walce, nie potrafi nawet stanąć do niej dość silny, by odparować pierwsze uderzenie. I jakiej broni użyje przeciwko niemu cesarz? Takie kwestje nie były nigdy poruszane między nimi. Od czego więc zacznie?

„Oby tylko został w swojej roli administracyjnej" pomyślał Rudolf.

Cesarz siedział przy biurku, w swoim codziennym mundurze feldmarszałka. Przerzedzone włosy, baczki i wąsy były białe, jak śnieg. Wielkie okulary trzymały się na dość dużym nosie. Czytał. Miał przed sobą duży arkusz papieru i ołówkiem podkreślał każde przeczytane słowo.

Ruchem ręki nakazał Rudolfowi milczenie i wskazał mu krzesło.

Rudolf przyglądał mu się, tak jakgdyby nie widział go oddawna. A jednak poprzedniego wieczoru spożyli razem kolację.

„Postarzał się bardzo — pomyślał syn — i nie ma więcej niż sześćdziesiąt lat. Ale czy był wogóle kiedyś młody? To stary biurokrata, zajęty firmowemi sprawami Habsburgów. Cały dzień trzyma nos w papierach. Teraz weźmie do ręki akty — Rudolf *versus* Marja — i nasze cenne życie będzie tematem dyskusji, tak jakgdyby szło o wybór gatunku sukna na umundurowanie armji.

Tymczasem cesarz zakończył czytanie swojego arkusza. Otworzył szufladę, wsunął do niej arkusz, ołówek, zamknął szufladę, uporządkował na biurku, zdjął okulary, przetarł je, włożył do pochewki, a pochewkę położył między kałamarzem i rzędem kolorowych ołówków.

Następnie, cesarz zwrócił spojrzenie na syna. Zaczął głosem bezbarwnym:

— Otrzymałem dziś list z Watykanu, list, który zdziwił mnie bardzo. Jest to odręczny list Ojca Świętego, list osobisty, który nie przeszedł przez biura kurji. Jego zawartość jest tajemnicą pomiędzy mną i Jego Świątobliwością.

„Ton urzędowy, byłem tego pewny" pomyślał Rudolf ze zniecierpliwieniem.

Pod wrażeniem monotonnego głosu, który mu działał na nerwy, zapominał, iż dowie się natychmiast odpowiedzi papieża, odpowiedzi, mającej zaważyć nad jego przyszłością.

— W ten sposób dowiedziałem się — ciągnął Franciszek Józef — że napisałeś wprost do Ojca Świętego. Wysłałeś list czternastego stycznia roku bieżącego i to w kwestji, której nie omówiłeś ze mną uprzednio.

Cesarz spojrzał na syna wyczekującym wzrokiem.

Rudolf odpowiedział:

— Była to sprawa natury osobistej.

(D. c. n.).